

# I Konkurs Literacki Małopolskiej Izby Lekarsko – Weterynaryjnej

## Dr Maja Ingarden – wyróżnienie dla pracy z Małopolski

### Na zapleczu

Zapewne wielu klientów lecznic weterynaryjnych zastanawia się, jak wygląda życie na zapleczu. Pacjent z właścicielem zostaje w gabinecie i nerwowo wyczekuje werdyktu. A personel zapewne urządza sobie tam z tyłu imprezę. A jak jest naprawdę?

- Pani doktor, pani doktor, dzwoniła... - na chwilę zawiesza głos Agata.

- Bella? – odpowiada z szelmowskim błyskiem w oku Janek.

- Bella? – pytam, choć doskonale znam odpowiedź.

- Skąd wiecie? – mruczy Agata.

- Możemy obstawiać w totka! – cieszy się Janek. – A co, znów biegunka?

- Nie, chodzi o tę ranę na guzie. Właścicielka wysłała zdjęcia i wyniki, prosi, żeby rzucić na nie okiem.

- No, dobra, zaraz rzucę. Ale najpierw ocenię te rozmazy, na które czeka Morfa. – mówię tak, choć wiem, że tak szybko okiem nie rzucę. Bo w kolejce czekają inne zaległe maile. Korespondencja, która zajmuje więcej czasu niż przyjmowanie pacjentów. A ja zawsze powtarzam: jakby coś Pana / Panią zaniepokoiło, to proszę pisać. I potem żałuję, że własnego języka nie połączyłam. Czasem ktoś prosi o numer prywatnej komórki. Nie mam problemu z odmawianiem. Dziwię się tym, który nie potrafi odmówić. A potem narzekają, że o każdej porze dnia i nocy klienci dzwonią.

Wracam do Morfy. Kotka przysłana na konsultację guzów w brzuchu. Wymiotuje, nie je. Chociaż wygląda dobrze.

- Jak dostawała steryd to było dobrze. Ale jak przestaliśmy podawać, to znowu wszystko wróciło.

No tak, jak miało nie wrócić, skoro kot był leczony po prostu źle. Nakłucie jednego z powiększonych węzłów chłonnych, szybkie rozmazy. Zabieram szkiełka na zaplecze. Suszę, barwię. Przychodzi Janek.

- A wie Pani, że odkąd Kamil przeprowadził się do nowego mieszkania, to się taki jakiś ekologiczny zrobił? Butelki po odczynnikach każe mi do odpadów medycznych wrzucać! I Virconu pozwala tylko pół butelki wlewać. Że niby potem, jak do kanalizacji trafi, to jego dzieci to potem piją... No, ja nie wiem, co to się z nim porobiło...

- Oj, porobiło się, porobiło... Może nie mówmy mu, że kupa też trafia do tej samej kanalizacji. I do dziecięcych brzuchów... Bo mu smutno będzie... - odpowiadam. Mówiąc to wrzucam szkiełka pod mikroskop. No tak, chłoniak... Jak to teraz przekazać właścicielce? Kotka jest stara, na poważną chemię się nie kwalifikuje... Ale zostawić też jej nie można bez pomocy. Idę do właścicielki. Proponuję tabletki, u wielu kotów udaje się całkowicie wycofać zmiany. Ale już na słowo tabletki widzę, że właścicielka blednie. No tak, kolejny kot, który odgryza palce. Nie da się.

- Da się. Tylko trzeba odkryć system – mówię z przekonaniem. – Każdego kota można podejść. Jak się nie uda, to umrze. Mogę przeliczyć dawkę żeby zmniejszyć częstotliwość podawania. Ale jak kotka ma wykorzystać kolejne kocie życie i nadal jako-tako funkcjonować, to albo poświęca się palce, albo

znajduje system. I opowiadam: o smarowaniu łapek, o strzykawce z przysmakiem, o galaretkce mięsnej. A na końcu dodaję historię Rubina, który sam wcina sterydy. Widziałam. Właścicielka przysłała mi film.

Idę zrobić opis i przygotować zalecenia, dawkowanie leków i receptę. Siadam do komputera, na zapleczu oczywiście. A za mną jak duch podąża Agata. I znów męczy mnie z Bellą. Opędzam się jak od natrętnej muchy. A tu już kolejny pacjent czeka. Z niedokrwistością. Piękna brodata Tiara. Niby mam się zająć krwią. Ale coś mnie tknęło i koncentruję się na kupie. Ubieram rękawiczki. Grzebię w odbycie najpierw wymazówką, potem palcem. Potrzebuję dwóch porcji śmierdzącego materiału. Jest. Z dumą wyciągam upaprany kałem palec i z miną zwycięzcy idę do mojego laboratorium, na zaplecze. Pięknie wygląda ta czerwonawa kupa na niebieskim tle rękawiczki. Janek pobiera krew. Czuję tę kupę wszędzie, zapach zaczyna mnie prześladować. „Co za gówniana robota” mruczę. Przygotowuję preparaty, wymazówkę wciskam do próbówki z płynem, część kupy upycham w pojemniczku do flotacji, resztę przekazuję Jankowi:

- Na krew utajoną...

Smród unosi się w powietrzu, ale cóż, robota to robota. Można się i do smrodu przyzwyczaić. Janek nastawia krew, analizatory buczą i terkoczą. Nagle wpada Agata:

- Co tu tak śmierdzi??? – prawie krzyczy.

- Kupa... - odpowiadamy jednym głosem z Jankiem.

- Jasne, że kupa! Bąbel ma biegunkę. Trzeba to ogarnąć.

No tak, gówniany dzień. A ja myślałam, że to moja kupa. Tfu, nie moja, tylko mojej Tiary.

- To dlatego, że dostaje dorsza, a w domu jadł żeberka... I przez to ta biegunka - stwierdza ze stoickim spokojem Janek i zabiera Bąbla, pacjenta z niewydolnością nerek i refluksem, na spacer. Agata zabiera się za sprzątanie klatki. Chwila spokoju. Zapach staje się jakby mniej intensywny. A może już mój nos się uodpornił? Oceniam cytologię Tiary. No, pięknie, są! Idealne spory beztlenowców. Liczę w jednym polu widzenia, w drugim, piątym. Najwięcej znalazłam 12. To już jest coś. Lubię mieć punkt zaczepienia. Krew wychodzi nieźle, biochemia bez zarzutu. Ale jest zwiększona regeneracja. Czyli gdzieś ucieka. Tłumaczę właścicielce, że mamy wstępne rozwiązanie. Przez głowę przemknęła mi myśl, że może głupio wyglądam z tą dziką radością na twarzy. Komuś już kiedyś tłumaczyłam, że to nie radość z choroby zwierzaka, tylko cieszę się, bo to jak praca detektywa. Jest rozwiązanie, jest radość, jest nadzieja. Zawsze w takiej chwili widzę znaki zapytania w oczach właścicieli. I jakby... niepokój. Tym razem się powstrzymałam od tłumaczenia. Choć radość była naprawdę szczerą. Ale to tylko hipoteza. Czekamy na wynik z laboratorium na krew utajoną. Wydaję wypis. I już pędzę do kolejnego przypadku. W każdym razie tak planuję. Bo na drodze staje mi Janek z doniczką w ręce. Dumnie wyciąga ją przed siebie i mówi:

- Ooo, taka piękna cytryna urosła! To była ta słabsza. Tę mocniejszą dałem Paulinie, ale ją zabiła... A ta, proszę popatrzeć, jaka piękna! A pomidory jakie duże!

Janek jest naszym nadwornym ogrodnikiem. Nawet najbiedniejszą suszkę ożywi. Na zapleczu mamy cały parapet zalesiony. Nawet mini-ogródki w żarówkach są! Może powinnam moje osobiste biedne roślinki na rehabilitację na nasze lecznicowe zaplecze przywieźć? Wyglądam na patio, rzeczywiście, pomidory koktailowe, które uratowaliśmy przed zagładą, tworzą zielony gąszcz w flizelinowej donicy. Wszyscy czekamy, aż zakwitną i dadzą owoce. Myślę o tych pomidorkach i czuję, jak mi żołądek zaczyna się niebezpiecznie kurczyć. To jest zapewne to uczucie opisywane, jako

przyrastanie do kręgosłupa. Wpadam tylko na chwilę do socjalu, piję łyk wody, łąpię ptasie mleczko i już z uśmiechem wchodzę do gabinetu.

W gabinecie czeka beagle z gorączką. I właścicielka z piękną ręcznie robioną biżuterią. Aż mnie korci, żeby zapytać, czy to jej dzieło. Cudne szydełkowe kolczyki i wisior z zatopionym kwiatkiem. Powstrzymuję się, bo widzę, że nie ma ochoty na gawędy estetyczne. Krew już mam pobraną. Odkleszczówki zostały zrobione w czasie, jak grzebałam się z opisem Tiary. Ujemne. Miało być szybko i przyjemnie. A każde badanie przynosiło więcej znaków zapytania. Niedokrwistość. Małopłytkowość. CRP w kosmosie, niewydolność wątroby. W usg marmurkowata śledziona. Jakieś guzki na całym ciele. Proponuję biopsję, ale właścicielka ostrzega, że może zemdleć. No to zabieramy psiaka na zaplecze. Nakłuwam. Ładny materiał. Ale po mikroskopem... tłuszczak. Siadamy z Ignacem i debatujemy: co teraz? Pasowałoby nakłuć śledzionę, ewentualnie szpik. Ale przy takich płytkach? Po sterydach było przez chwilę lepiej. No to spróbujmy. Przekazanie właścicielce problemu, z którym się borykamy nie jest proste. A do tego dochodzi dodatkowa informacja: sąsiad przyskał trawnik Round-upem. A pies jadł tę trawę, zanim uschła. Może to jest punkt zaczepienia? No, jest. Ale i tak musimy najpierw wyrównać płytki. Wydaję leki i umawiam pacjenta na kontrolę i ewentualne rozszerzenie badań. Właścicielka chce jeszcze o coś zapytać, ale nagle dzwoni telefon: dzieci! Na śmierć o nich zapomniałam.

- Mamoooo – słyszę umęczony głos mojego syna. – Długo jeszcze mamy czekać? Już dwie godziny siedzimy.

Zrywam się jak oparzona, łąpię torbę, wołam przepraszam, Agata wszystko wytłumaczy, i już mnie nie ma. Zorientowałam się, że za półtorej godziny chłopaki wyjeżdżają na biwak harcerski, a jeszcze zakupów nie zrobiliśmy. Oj, damy radę. Nie raz zapomniałam o dzieciach i jakoś żyją... Szybkie zakupy, obiad połknięty niemalże w całości, kontrola plecaków.

- Śpiwory? Karimaty? Kosmetyczka? Bielizna termoaktywna? Buty? Zapasowe skarpetki? Noże? Menażki? Sztuce? – Przy menażkach zapadła cisza. No tak, młodszy nie spakował. – A jak będziesz jadł?

Zaczyna się gorączkowe szukanie brakujących rzeczy. W międzyczasie widzę, że przyszedł wynik Tiary. Jeszcze telefon do męża: dasz radę ich zawieźć? Bo muszę odpisać. Da radę. Dzieci wyjeżdżają, siadam do komputera. No tak, krew w kale obecna. To chyba... dobra wiadomość? Piszę tłumacząc właścicielce, że bardzo się cieszę. Co ona sobie o mnie pomyśli? Znow się cieszę ze złego wyniku... Nienormalna jakaś jestem. Klik, wysłane. Dalej przeglądam pocztę. Jest i Bella. Agata poddała się. Piszę: wyniki o.k., nie przejmować się ranką, podawać chemię.

Westchnienie, uff, koniec dnia. Przymykam oczy... Dzisiejsze życie na zapleczu było burzliwe, ale w sumie... takie jak zawsze. I nagle dzwoni telefon. Z pracy.

- Pani doktor, nie opisała pani tej cytologii z wczoraj. Tej, co doktor zostawił do oceny.

- O w mordę. Oglądnęłam, ale nie opisałam. Zaraz opiszę. – Siadam i oczami wyobraźni przenoszę się na zaplecze naszej przychodni, siadam ponownie przy mikroskopie i ponownie oglądam szkiełka. Ciekawe były, pamiętam niemalże każdą komórkę. Rozsiany po jamie brzusznej nowotwór, przypuszczalnie gruczolakorak nadnerczy, rokowanie złe. Cieszę się, że to nie mój pacjent, bo przekazywanie złych wiadomości nie jest moją ulubioną czynnością.

Minął kolejny szalony dzień. Dzień pełen wrażeń. Trochę smutny, trochę śmieszny. Przy właścicielach jesteśmy często zatroskani, wczuwamy się w ich emocje. Wytchnienie przynosi zaplecze. Czasem śmierzące, czasem pełne szczekania, od którego uszy pękają. Czasem rozplotkowane, pełne

opowieści o dzieciach i zwierzakach. Ale to jest miejsce, gdzie możemy ponarzekać na klientów i pożalić się na gorszy dzień. Gdzie możemy być sobą.